

Autor: prof. dr hab. Zbigniew Lewicki

Od amerykańskich wyborów prezydenckich minęły już trzy tygodnie, a komentatorzy nadal zastanawiają się, co właściwie sprawiło, że hołubiona przez wszystkie praktycznie media kandydatka Partii Demokratycznej poniosła tak sromotną klęskę. Mówi się o zagrożeniu inflacją czy obawami o bezpieczeństwo, powtarza się też tezę o Ameryce czerwonej i niebieskiej, a także fioletowej. Tyle tylko, że takie same „wyjaśnienia” pojawiają się co cztery, a nawet co dwa lata i nie przybliżają nas do zrozumienia tego, co wydarzyło się w Ameryce w 2024 r.

W moim przekonaniu odpowiedź można znaleźć z filmie „Sieć” Sidneya Lumeta z 1976 r. Jego bohater wygłasza na wizji monolog i w pewnym momencie woła: „Jestem wściekły jak diabli i dłużej tego nie zniosę”. Wzywa widzów, by powtarzali tę mantrę i rzeczywiście w kolejnych oknach pojawiają się Amerykanie, którzy coraz bardziej zgodnym chórem wołają, że są „wściekli jak diabli i dłużej tego nie zniosą”.

Otóż w 2024 r. Amerykanie uznali, że mają dość. Dość narzucania wszystkim lewicowego jednomyślenia, dość podporządkowywania się regułom tworzonemu ad hoc przez mniejszość, dość odchodzenia od zasad, według których państwo powstało i rozwijało się przez kilkadziesiąt lat i które sprawiły, że Ameryka jest Ameryką, a nie wersją takiego czy innego państwa europejskiego.

*

Podstawową cechą amerykańizmu jest poleganie na samym sobie na wzór czynić karczującego bór osadnika, oddalonego od najbliższego sąsiada o dziesiątki kilometrów. Stąd wzięło się przekonanie, że „ten rząd jest najlepszy, który rządzi najmniej” i reguła „państwo nie przeszkadza, państwo nie pomaga”. Lewicowy odwrót od tak rozumianej amerykańskości rozpoczął się w latach 30. XX w., gdy prezydent Franklin D. Roosevelt postanowił podjąć działania interwencyjne w trakcie kryzysu gospodarczego.

Następna faza lewicowego przekształcania Ameryki nastąpiła w czasie kadencji kolejnego prezydenta z Partii Demokratycznej, Lyndona B. Johnsona. Z tych czasów wywodzi się system preferencji dla grup, które nie mogły liczyć na równy start. Przy wszelkich zastrzeżeniach był to program korzystny społecznie, ale w XXI w. wynaturzył się on w strukturę DEI, *Diversity, Equality, Inclusion*. Pod niewinnie brzmiącym hasłem „różnorodności, równości i włączenia” dyrektywa ta oznaczała

uzależnianie różnego typu awansów od przestrzegania tego kryterium nawet tam, gdzie powinny decydować wyłącznie kompetencje, jak chociażby w siłach zbrojnych.

Z kolei w latach 70. XX w. pojawił się ruch poprawności politycznej, eliminujący ze sfery publicznej wyrażenia obraźliwe dla takiej czy innej mniejszości. Trudno było zakwestionować słuszność tych zasad, niemniej w 1992 r. Herbert Kohl wykazał, że wśród szczególnie aktywnych propagatorów nowego „dyktatu” było wielu dawnych członków partii komunistycznej, dobrze zaznajomionych z marksowską koncepcją poprawności politycznej i sposobami na jej wymuszanie.

Przyzwyczajani stopniowo do większej roli państwa w swoim życiu, obywatele akceptowali kolejne tego przejawy. Dzięki temu prezydent Barack Obama mógł wprowadzić 2010 r. system obowiązkowych ubezpieczeń medycznych i wymusić przystąpienie doń wszystkich Amerykanów, nawet jeśli świadomie chcieli zrezygnować z takiej ochrony, a posiadane środki ulokować inaczej.

W drugiej dekadzie XXI w. pojawił się z kolei ruch *woke*, czyli „przebudzonych”, a właściwie przeczulonych na punkcie lewicowej prawomyślności. Ruch *woke* szybko stworzył też zjawisko znane jako *cancel culture*, czyli wyrzucania ze świadomości i pamięci społecznej wszystkich, których niewidzialny trybunał uznawał za nie dość oddanych sprawie lewicowej naprawy społeczeństwa.

W maju 2010 r. Derek Chauvin, który nigdy nie powinien być policjantem, zadusił zatrzymywanego przez siebie czarnoskórego złodziejaszka George’a Floyda. Scena została nagrana przez świadków, a Chauvin odsiaduje kilkunastoletni wyrok. Lewicowi politycy uznali jednak, że najlepszym remedium na przemoc policjantów będzie likwidacja sił policyjnych, co też stopniowo następowało w poszczególnych dzielnicach i miastach.

Z pozbawianiem obywateli ochrony wiąże się też kwestia nielegalnej imigracji do Stanów Zjednoczonych. Liczebność takich przybyszów przekracza obecnie 20 mln, przy czym nie chodzi tylko o osoby szukające lepszego życia, lecz o coraz liczniejsze grupy gangsterskie, przede wszystkim z Kolumbii i Wenezueli. Opanowują one kolejne osiedla i dzielnice miast amerykańskich, w tym szczególnie tych, które lewicowcy pozbawili lokalnej policji.

Czy można się dziwić, że coraz więcej Amerykanów wykrzykuje „Jesteśmy wściekli i dłużej tego nie zniesiemy”? Głoszą to przez szeroko otwarte okna, a także przy urnie wyborczej.

Mimo to przez czas jakiś wydawało się, że Partia Demokratyczna utrzyma Białą Dom. Joe Biden bywał śmieszny, ale wyborcy nie byli skorzy popełniać dziadkobójstwa. Uczyniła to za nich Kamala Harris, której nie stało o cierpliwości, by czekać na swoją kolej do Gabinetu Owalnego. Bezwzględnie usunęła Bidena i na jej drodze stał już tylko jeden dziaders, jak postrzegała Trumpa. Przeliczyła się jednak, gdyż wyborcy zrozumieli, że tym razem walka toczy się o istotę amerykańskości.

Ale samo zdobycie Białego Domu nie wystarczyło do skutecznej naprawy państwa, na co wskazał rok wcześniej raport Heritage Foundation zwany Projekt 2025 albo „Mandat do przewodzenia”. Stwierdza się w nim między innymi, że „Nie wystarczy, by konserwatyści wygrali wybory. Jeśli mamy uratować kraj z uścisku radykalnej lewicy, potrzebujemy zarówno programu rządzenia, jak i odpowiednich ludzi, gotowych do realizacji tego programu już pierwszego dnia nowej konserwatywnej administracji”.

Żaden prezydent amerykański nie skompletował swego gabinetu w tempie choćby zbliżonym do Trumpa. Część z jego nominatów to osoby od dawna specjalizujące się w danej dziedzinie, część zaś zdaje się być amerykańską wersją „zderzaków”. Chodzi o to, by nominaci całkowicie spoza układu, jak sekretarz obrony Pete Hegseth, prokurator generalny Matt Gaetz czy szef departamentu zdrowia Robert Kennedy Jr., przyszli do swoich urzędów bez powiązań z zasiadającymi tam aktywistami antyprezydenckiego „głębokiego państwa” i bez zahamowań usunęli stamtąd generałów wypromowanych i promujących nie za zasługi bitewne lecz za bezkrytyczne praktykowanie koncepcji DEI, prokuratorów potrafiących jedynie formułować kolejne bezpodstawne zarzuty polityczne czy wreszcie urzędników blisko powiązanych z koncernami farmaceutycznymi.

Senat będzie zapewne wyrażał zastrzeżenia, procedura będzie się przeciągać, a w tym czasie prezydent wykorzysta fakt, że zgodnie z Konstytucją sekretarze są jego urzędnikami i wspomże ich w rzeczywistym, a nie tylko deklaracyjnym „osuszaniu bagna” w Waszyngtonie. W trakcie tego procesu miliarderzy Elon Musk i Vivek Ramaswamy przeprowadzą prawdziwy audyt wydatków rządowych i zaproponują likwidację zbędnych urzędów.

Lewicowi politycy i dziennikarze nie ustąpią bez walki. Pojawi się kolejna fala sensacji, mających skompromitować prezydenta i jego ludzi. Ale linia podziału nie jest już jednoznaczna. Żona Bidena poszła do lokalu wyborczego w czerwonym kostiumie, co jest kolorem Republikanów, a on sam był wyraźnie ucieszony podczas spotkania z Trumpem. Nikt nie wspiera ojco- czy dziadkobójców, a jeśli już dokonuje

się takiego czynu, musi on być w 100% skuteczny. Harris nie potrafiła dokonać nawet tego.

*

Jeszcze 22 lipca opublikowałem w „Rzeczpospolitej” tekst zapowiadający rozkwit Ameryki nie tylko po zwycięstwie Trumpa, lecz także w efekcie dwóch kolejnych kadencji prezydenckich jego nominata na stanowisko wiceprezydenta, J. D. Vance’a. W odzewie sam guru polskiego dziennikarstwa lewicowego orzekł, że zapewne cierpię na dolegliwości umysłowe. Na razie spełniła się pierwsza część mojej prognozy: Trump zasiadł w Białym Domu i zaczyna wypełniać program zasadniczych zmian w sposobie zarządzania Stanami Zjednoczonymi. Na kolejny etap przyjdzie nam oczywiście poczekać, ale lewicy nie uda się mu zapobiec. Amerykanie głośno zakrzyknęli, że są „wściekli jak diabli i dłużej tego nie zniosą” i najlepsze jest jeszcze przed nami: *you ain’t seen nothing yet!*

Najnowszą książką Zbigniewa Lewickiego jest „Historia Stanów Zjednoczonych Ameryki”.